

Dał nam przykład Alchemik

■ Alek Rachwald ■

W Europie ten interes rozpoczął chyba Alchemist – w czasach, kiedy Chiny jeszcze nie istniały, przynajmniej z audiofilskiego punktu widzenia. Zerwał z obudowami pokrytymi zwykłym lakierem młotkowym...

Wróż, akurat Alchemist miał skłonność do wyuczynowego wzornictwa już wcześniej, bo lakier młotkowy był zielony, co wyglądało całkiem odjazdowo; coś jak opancerzona żaba. Tak czy inaczej, któregoś pięknego dnia firma wprowadziła złote wstawki na chromowanych obudowach, co wprawilo recenzentów i klientów w osłupienie. Nic tak wcześniej nie wyglądało.

Nowe wzornictwo prezentowało się atrakcyjnie, chociaż dziwnie. Z jednej strony, czarny Linn, szary Naim, szarzy Krell i Mark Levinson; z drugiej – pełna orgia. Sprzęt również brzmiał nieźle i żałuję, że nie było mnie wówczas stać na szczytowe modele tej firmy. Był w nich pewien oryginalny styl. Dzisiaj wyglądałyby wręcz standardowo, ale dźwięk nadal byłby niezły. Niestety, po jakimś czasie firma znikła z rynku, chociaż nie wiązałbym tego akurat z nadmierną ozdobnością.

W tym samym mniej więcej czasie z masowego rynku zaczęły się niedostrzegalnie wycofywać, tak zwane przez nasze piękne panie, „brzydkie czarne skrzynki”. Ustępowały miejsca małym wieżom w sztucznym chromie, złocie i kolorach tęczy. Jednocześnie powlekany plastik zaczął

na potęgę zastępować aluminium w obudowach. Efektem tych zmian w ofercie wielkich japońskich koncernów było niemal całkowite wyparcie urządzeń o typowej szerokości 43 cm przez małe, niekiedy bardzo ozdobne wieże, wieżyczki i wieżątka, które wzbogaciły się przy tej okazji w zakresie iluminacji i dodatkowych funkcji. Miejsce użyteczności zajął lifestyle, dotąd zarezerwowany dla firm w rodzaju Bang&Olufsen i Nakamichi.

Gdzieś pod koniec lat 90. nastąpiła zmiana w kosztach produkcji, wywołana masowym przenoszeniem produkcji ze Starego Kontynentu na nowy, czyli do Azji Południowo-Wschodniej. Najpierw taniała elektronika, do której ścieżki przetał sprzęt komputerowy, jednak przysła kolej i na obudowy. Od tego momentu złoto na chromie okazało się dość tanią opcją, zaś aluminiowe skrzynki wycinane obrabiarkami CNC lub ścibolone tradycyjnie (niekiedy niechlujnie) stały się standardem, a nie rzadkością.

Zbiegło się to z niesłychaną karierą niebieskiej diody, nieznaną wcześniej w hi-fi. Jeszcze zdążył zrobić na nas wrażenie Jeff Rowland i jego wyjątkowo kunsztownie frezowane obudowy, bardzo porządnie wykonywane

w USA, a potem już leżeliśmy pod lawiną podobnych do siebie, lśniących pudeł. Złoto i chrom z dodatkiem szcztokowanego aluminium okazały się „nową czernią”, a wszystko to oblewała szalona poświata kojarząca mi się z błękitem Czerenkowa, czyli niebieską otoczką reakcji nuklearnej.

Czy mi to przeszkadza? Właściwie nie bardzo, chociaż audio, które możemy obserwować co roku na wystawie w Monachium, już od dawna kojarzy się z wystrojem wychodka w pałacu jakiegoś rosyjskiego lorda. Listwy zasilające obleczone w złoto, kable zasilające i głośnikowe ze wstawkami ze szlachetnych (lub robionych na szlachetne) metali, a w kolumnach – zalew tanich politur na wysoki połysk, które silą się udawać kosztowny jak diabli lakier fortepianowy. Nie lubię podróbek, a większość tego blichtru to przecież ordynarne podróbki. A tam, gdzie ich nie ma, figurują w większości wykonywane masowo na wielkich maszynach pudła z Kraju Środka, który nie bez powodu zużywa obecnie chyba połowę światowych zasobów aluminium. Część z tego idzie na obudowy sprzętu hi-fi. W sumie jednak jest solidnie, jeśli nawet nie pięknie. A przecież podobno masywna obudowa ma niebagatelny wpływ na brzmienie, prawda? Zatem wszystko idzie ku dobremu.

Mnie jednak ciągle bardziej podobają się proste czarne skrzynki niż ozdobione złotem pudła z aluminium ciętego CNC. Ja chyba głuchy jestem.